

ZIEMIA

Warszawa—Lwów.

S. Matusiak.

Koń w naszych wierzeniach ludowych.

5)

I na Rusi bardzo uważają na to, kto w Boże Narodzenie i w Nowy Rok pierwszy z obcych wniknie do chałupy. Jeśli ten przychodzi jest zdrowy, bez żadnej rany i znaku na ciele, to się nim cieszą, szczególnie, jeżeli do tego ma jeszcze pieniądze przy sobie, mniemają bowiem, że w tym wypadku wszyscy będą zdrowi cały rok, a pieniądze też się ich trzymać będą. Taki przychodzi zwie się podłaznyk. Gdyby zaś pierwszym przychodniem w dni wymienione była kobieta, a do tego niezdrów, z bolakami lub jakimibądź wyrzutami na ciele, bardzo się na takie odwiedziny gniewają (Dorożów). Pożądaną jest rzeczą, aby w Wigilię czyli w podłazy, w dzień Bożego Narodzenia i w św. Szczepan pierwszy do domu przybył mężczyzna, a nie kobieta, a im jest on młodszy i bardziej zuchowaty, tem milej jest widziany.

Z powyższem mniemaniem w ścisłym związku zostaje inny zwyczaj. Nim ludzie poprzycho-
dzą z cerkwi w Boże Narodzenie i w święto Trzech Króli (z Jordanu), wprowadzają do chałupy zamiast podłaznika krowę, wybierając najzdrowszą i najpiękniejszą, a to dlatego, ażeby nie przyszedł pierwsi ktoś obcy chorowity i niezdrów. Tej krowie dają z każdej stawy po trosze, aby się było dobrze chowało i aby wszyscy w domu tym byli tak zdrowi, jak ta krowa. Krowę tę wprowadzają do chałupy także w Nowy Rok i na Uwidenie Bohorodicy (21 listopada według kalendarza wscho-

dniego¹⁾. Więc tu i owdzie dopytują się: „Kto dziś pierwszy wszedł do nas?“ (Tarnów i gdzieindziej...²⁾)

Uważają także na zmiany powietrza od Wigilii do Trzech Króli, sądząc, że każdy dzień, licząc od Bożego Narodzenia, zapowiada pogodę jednego miesiąca następującego roku, a sam dzień Wigilii i Trzech Króli wskazuje pogodę całego roku...³⁾

Jest tych wierzeń noworocznych (jak my je nazywamy) ogromna moc, ale przypominąć ich więcej może nie trzeba, bo i to, cośmy przytoczyli, wystarcza, ażebyśmy zrozumieli, dlaczego w Wigilię, w Boże Narodzenie, Nowy Rok lub kiedyindziej wprowadza się do domu gospodarza konia, wołu lub inne zwierzę i dlaczego gospodarza i jego dom obrzuca się w te dni zbożem rozmaitem lub kładzie się na stole bochny chleba i woła się go, żeby to zobaczył. To, co on wtedy nasamprzód zobaczy, to będzie widział przez cały rok, to będzie mu się w roku następnym wiodło; co wtedy na niego i na jego dom spadnie, to będzie spadało przez cały rok. Gospodarzowi chodzi przede wszystkim o zdrowie i powodzenie, o dobytek i plony, więc przyjazna czeladka czyni tak,

¹⁾ W kościele łacińskim przypada 21 listopada Ofiarowanie Najśw. Panny Maryi.

²⁾ Dr. E. Janota I. c. 12—17.

³⁾ Dr. E. Janota I. c. 15—16.

żeby to, o co mu najbardziej chodzi, najpierw stanęło przed jego oczyma, żeby zdrowie, dobytek i plony miał na rok następny zapewnione; koń, wół baran reprezentują dobytek, a zarazem zdrowie i siłę; starają się też, ażeby to, co się przed oczy gospodarza przyprowadza, było piękne i zdrowe, jak tego zresztą przesady wyraźnie żądają. Niebezpiecznie też podług tych przesądów spotkać się nawet z chorowitą osobą. Kobieta, jako istota w porównaniu z mężczyzną słabsza, stanowiła zły omen, coś dopiero chorowita. I z pomiędzy zwierząt męskie, zdrowe, silne, nienaruszone, jak żrebiec lub wół, zwłaszcza młody, lepszy stanowią prognostyk, aniżeli żeńskie. Koń i silny i zdrowy, a bóstwu najwyższemu tak miły, musiał uchodzić za prognostyk najlepszy; po nim niezawodnie wół i t. d. W braku czego innego dobra i krowa, byle tylko — jak tego przesąd dotąd wyraźnie żąda — jak najpiękniejsza i najzdrowsza.

Pozostałościami tych starodawnych zwyczajów noworocznych jest niezawodnie zwyczaj naszych czasów chodzenia w czasie kołędowym z turem czyli toruniem, z misiem czyli niedźwiedziem i t. p. Przed wiekami prowadzono te zwierzęta niezawodnie in natura, a czasem naturę zastąpiono sztuką i rzecz, która miała niegdyś cel poważny, stała się zabawną.

Ale jest jeszcze inny zwyczaj, pierwotnie bezwątpienia noworoczny, złączony z koniem, a praktykowany obecnie w czasie świąt Bożego Narodzenia.

W „Ludzie nadrabskim” czytamy: „Do niedawna jeszcze w parafii chełmskiej (powiat bocheński) panował bardzo stary, zdaje się, pogański zwyczaj (obecnie zakazany przez teraźniejszego proboszcza), że parobcy przyjeżdżali konno (w Boże Narodzenie) na nieszpory przed kościół. Stąd dokądkolwiek rzuciło się okiem, wszędzie dokoła kościoła widziało się całe szeregi do płotów przywiązanych koni najrozmaitszej maści. Za czasów pogańskich było, zdaje się, grodzisko chełmskie punktem zbornym dla ludu w celu obchodzenia uroczystości na cześć jakiegoś bożka”¹⁾.

Zwyczaj ten przechował się w mojej wsi rodzinnej²⁾ i w sąsiednim Mokrzeszowie do tej chwili. Do kościoła stąd około $\frac{3}{4}$ mili, chodzi się do niego zwyczajnie piechotą, ale niekiedy jadą i wozem. W Boże Narodzenie jednakże nikt z mojej wsi wozem nie pojedzie: wtedy albo się jedzie do kościoła konno albo się idzie

piechotą. Z każdego domu, który posiada konie, jest wtedy jeden jeździec, a czasem dwu i więcej, jeżeli w domu więcej jest koni i więcej ochotników do jazdy. Nie wiem, jak to odbywa się dzisiaj, za moich dziecinnych lat jeźdźcy z naszej wsi zbierali się pod figurą przy drodze, która wiedzie do kościoła w Tarnobrzegu. Gdy się już wszyscy zebrali i wół nadszedł, bo wypadało na niego zaczekać, ruszano klusem do Mokrzeszowa, gdzie przed kaplicą przydrożną stała w oczekiwaniu mokrzeszowska konnica. „Pochwalony Jezus Chrystus!” — wołali Stalowiacy — „Na wieki wieków, Amen!” — odpowiadali Mokrzeszanie — i bezwzględnie rozpoczynała się jazda — narażenie klusem, który wnet zamieniał się w najszybszy galop, gdyż na przestrzeni blisko półmilowej między Mokrzeszowem a Tarnobrzegiem miało się pokazać, kto ma lepsze konie: Stale czy Mokrzeszów. Jedyny w swoim rodzaju był widok tego wiejskiego rycerstwa w starodawnych batorówkach i sukmanach swojskich, nie bez zuchwałych min, na drobnych, ale zwinnych i bystrych koniach, które już od dwu tygodni codziennie czyszczono i owsem karmiono, żeby nie zrobiły wstydu gospodarzom i gromadzie. Naprzód wysuwała się naturalnie młodzież, bo starzy jechali zwyczajnie i dalej klusem, rozprawiając ze sobą swobodnie, chyba że konie ich wzięły na kiet i pobiegły wichrem z drugimi. Trafiło się, ma się rozumieć, że niejeden z mniej wprawnych, młodocianych jeźdźców zapłacił frycowe matce ziemi, gruchnąwszy z konia w jej święte objęcia. W kuzawie śniegu, którą wzniecał szalony bieg jakich trzystu koni albo i więcej, nie łatwo było rozpoznać, kto leżał, ale zawsze był to wstyd, do którego nikt chętnie się nie przyznawał, a i drudzy, rozumniejsi, zdradzać nie chcieli, żeby nie odbierać odwagi młodszemu do przyszłej wyprawy. Z Tarnobrzegiem, miasteczkiem, styka się bezpośrednio wieś Dzików; tu u chłopów, pouwiązane do kółków w płotach, pozostawiali jeźdźcy konie, a sami szli do kościoła. Z powrotem, o ile powracali w większych grupach, były znowu wyścigi, ale zwyczajnie nie czekano już na drugich, lecz każdy wracał, kiedy i jak mu się podobało.

Gdyby się był ich kto zapytał, dlaczego w ten właśnie dzień jadą konno do kościoła, byłby się dowiedział, że dla koni bardzo to zdrowo, a święto tak wielkie, że grzechem byłoby wół ładować.

Zwyczaj konnej jazdy do kościoła w dzień Bożego Narodzenia zachował się do ostatnich czasów także na Podkarpaciu zachodnim, polskim. „W dzień ten odwiedzin wzajemnych tutaj niema, nawet krewni do krewnych nie przychodzą (Jordanów, Raba Niżnia, Rabka,

¹⁾ J. Świątek. Lud nadrabski, 68.

²⁾ Stale, w pow. tarnobrzesckim, w dawnej puszczy sandomierskiej.

Klikuszowa); nigdzie się nie schodzą, nawet z kościoła idąc, śpieszą do domu, nie zatrzymując się dla rozmowy nawet przed kościołem, jak to w inne dni świąteczne i w niedziele czynić zwykli, albowiem kto najpierw do domu przyjdzie, najpierwej też zasieje i zbierze (Ujazd, Paweł Wielka, Juszczyn, Żarnówka, Jordanów, Sidzina, Harbutowice, Raba Wyżnia, Wielka Poręba; co do samego zasiewu także Łętownia, Skomielna, Czarna, Więcierza, Tokarnia, Podo-bin). Dla tego miejscami konno udają się do kościoła i konno wracają z kościoła (Podo-bin, dawniej też Sidzina¹⁾).

¹⁾ Dr. E. Janota l. c. 42—43.

I tutaj, jak w moich rodzinnych stronach, przyczyny zwyczaju już należyście oznaczyć nie umięją, ale ze wszystkiego widać, że to także pierwotnie noworoczny zwyczaj. Jakim koń okaże się w tym dniu, takim będzie przez cały rok; jeżeli się okaże zdrowy i rączy, zdrowy i rączy będzie przez cały rok, a w takim razie i człowiek będzie mógł na czas zasiać i zebrać. Czy w oczach pogańskich z tą próbą rącości w dzień nowego lata nie łączyły się jakie uroczystości religijne, które dzisiaj zastępuje msza św., trudno wiedzieć i zapuszczać się w domysły nie będziemy, a pozwolimy sobie natomiast zwrócić uwagę jeszcze na jeden zwyczaj ludu polskiego, zwyczaj, pozostający w łączności ze świętami Bożego Narodzenia i z koniem.

O. D. N.



J. M. G.

Wzmianka o Bazalii na Wołyniu.

¹⁾

πάντα περ

Heraklit z Efezu.

Bazalia, dawniej Bazylia, a nawet Bazyleja¹⁾, w powiecie niegdyś krzemienieckim, a teraz starokonstantynowskim gubernii wołyńskiej nad Stuczą, już w XVI w. był *oppidum et arx*. Grunt, na którym to miasteczko powstało (pierwsza, pono, o nim wzmianka w 1574 r.), był przedmiotem sporów pomiędzy Czołhańskimi i kniaziami na Ostrogu, ale się ostatecznie obie strony pogodziły i Wasyl Ostrowski, też Bazyliem zwany, stał się właścicielem tej miejscowości i powołał do życia ono miasteczko, nazwawszy je od swego imienia Bazalią. Mamy relację o niej z r. 1589: ówczesny jej dziedzic, słynny wojewoda ki-

jowski, zapłacił z tego majątku podatku złp. 91, groszy 7, szelągów 9; była to tylko połowa zwykłej opłaty, bo „z połowicze dla pogorzenia nie dał”; czopowego zaś złożył złp. 280=371,7,9. Czy to Tatarzy spalili, plondrując tam często czy pożar powstał z innej jakiej przyczyny — niewiadomo, lecz znany jest napad tatarski w 1593 r. i ślady jego w Bazalii jeszcze 1601



¹⁾ Spis ważniejszych miejscowości w pow. starokonstantynowskim na Wołyniu, Starokonstantynów (Kra-ków) 1910.

KOŚCIÓŁ W BAZALII, POW. STAROKONSTANTYNOWSKI.

roku pozostały, a w 1618 r. Tatarzy znowu Bazalię spalili, roznosząc spustoszenie w całej włości, a i potem dawało się to tam we znaki jeszcze nieraz, i jeszcze mniej tam ludności bywało.

Po śmierci wojewody kijowskiego syn jego, sławny Janusz (1554—1620), wojewoda krakowski, odziedziczył Bazalię (pomiedzy innymi); był to pan ogromnych posiadłości, który utworzył, jak wiadomo, ordynację ostroską; w skład jej weszła też i Bazalia i przetrwała w niej *de jure* do t. zw. transakcji kolbuszowskiej. Bazalia należała do dóbr stołowych, przeto do połowy XVIII w. posesorów nie miała, albo miała niewielu, którzy nie są znani; włość bazalijska składała się z trzydziestu kilku wsi i wiosek, które jednak nie we wszystkich dokumentach współczesnych są jednakowe, nie wiadomo z pewnością dla czego. Cała włość już w 1750 r. (3 lata przed transakcją kolbuszowską) dostała się Ignacemu Sapieże, późniejszemu wojewodzie mściłowskiemu, który może pożyczył Januszowi Sanguszcze, ostatniemu ordynatowi ostroskiemu, jaką znaczniejszą sumę pieniężną (więc, właściwie mówiąc — kupił), a na mocy transakcji kolbuszowskiej dostał ten klucz cały (razem z innymi dobrami) na własność.

Naturalnie opuszczamy tu owe rozmaite fazy, przez które przechodziły dobra ordynackie, więc i Bazalia, zaznaczając tylko, że po śmierci wojewody mściłowskiego († 1758 r.) i po wyjaśnieniu się zupełnem sprawy darowizny (może sprzedaży) Janusza Sanguszki na początku 1768 r. nastąpił dział pomiędzy synami Ignacego Sapiehy, i Kajetan, marszałek połocki z konfederacji barskiej, otrzymał Bazalię z pewną liczbą wsi okolicznych, lecz już w 1771 r. zginął pod Lanckoroną bezpotomnie. Po śmierci Kajetana nowy dział nastąpił, którego szczegóły nie są dokładnie znane, ale jest faktem historycznym, że Bazalia następnie stała się własnością słynnego i głośnego w dziejach naszych Kazimierza-Nestora Sapiehy, generała artylerii litewskiej, marszałka sejmu czteroletniego etc.

Nestor Sapieha był synem Jana (najstarszego syna Ignacego) generała majora w. k., zmarłego jeszcze przed ojcem, żonatego z Elżbietą Branicką, znaną ulubienicą Stanisława Augusta, błyszczącą długo w świecie i nazywaną wojewodzicową mściłowską. Do Bazalii (27 lipca 1792 r.) przysyłała pozwy Sapieże konfederacja targowicka, wzywając go na swój sąd, ale Nestor był głuchy na to... Na wniosek biskupa inflanckiego uchwalono wzięcie w sekwestr dóbr generała artylerii (nieobecnego w kraju), który w 1794 r. przyjął szarżę kapitana artylerii w. l. podczas powstania kościuszkowskiego.

Nestor Sapieha w 1784 r. rozwiódł się ze swoją żoną (Anną Cetnerówną, wdową po Jó-

zefie Sanguszcze, marszałku litew.), na Wołyniu prawie nie mieszkał, Bazalię z okolicznymi wsiami puszczał w dzierżawę lub w zastaw oddawał szlachcie miejscowej, majątek wołyński zadłużył ogromnie i gdy bezpotomnie umarł w Wiedniu w 1798 r., wierzyciele zabrali wszystko. Na Bazalii największą sumę posiadała, a potem (w 1799 r) w administrację ją wzięła Anna z Trębińskich (córka Waleryana i Ludwiki Rostworowskiej) Szymonowa Szeptycka, kasztelanowa przemyska. Szeptyccy mieli jedną córkę Maryannę Eleonorę Dominikę za Maciejem Jabłonowskim, która następnie stała się dziedziczką Bazalii z przyległościami i wniosła ją w dom Jabłonowskich¹⁾.

Protoplastą tej linii Jabłonowskich stał się Dymitr, starosta kowelski (1706—1788), który zostawił liczne potomstwo; jednym z jego synów był ów Maciej, (1757—1841), bliżej nas obchodzący. Teresa Jabłonowska, córka Antoniego Barnaby, w swoim rękopiśmiennym (w Ossolineum) herbarzu tak o Macieju powiada: przystojny, nie bez przymiotów duszy, ale bez znaczniejszego majątku, bo liczne miał rodzeństwo, chcąc posiadać w świecie pozycję, postanowił się bogato ożenić i wybór jego padł na Maryannę Szeptycką, kasztelanekę przemyską, którą na początku 1784 r. poślubił; małżeństwo to zapowiadało z początku zobopólne szczęście, lecz powoli, z powodu różnych charakterów, nastąpiło ochłodzenie, niesnaski, a po kilku latach — rozstanie; żona nawet odebrała mężowi prawo do zarządu swoimi licznymi posiadłościami (więc i Bazalię ten los spotkał). Jedynym synem ich był Ludwik, (1784—1868), którego tak opisuje Teresa Jabłonowska: zle pożycie rodziców, potem ich rozłączenie nie mo-

¹⁾ Przy tej sposobności uważamy za obowiązek sprostować nasze dawniejsze twierdzenie, wygłaszane niejednokrotnie. Mianowicie idąc za Bartoszewiczem i Kraszewskim, utrzymywaliśmy, że Jabłonowscy do końca prawie XVIII w. nie posiadali własności w Ostrogu i nie mieli tam schedy; aż dopiero wydana praca ś. p. Stanisława Kardaszewicza, gruntowne i wyczerpujące „Dzieje dawniejsze miasta Ostroga“, (Kraków 1913), przekonały nas, żeśmy w tym względzie błędzili. W rzeczywistości połowa miasta Ostroga należała do Janusza i ta weszła do ordynacji potem; druga połowa należała do Aleksandra, kniazia na Ostrogu, wojewody wołyńskiego, a potem ją odziedziczyła córka jego, sławna Anna Aloiza Chodkiewiczowa, po jej zaś bezdzietnej śmierci spadła na Zamoyskich, następnie na Koniecpolskich, i Aleksander Koniecpolski, wojewoda bełski, r. 1690 sprzedał ją Stanisławowi Janowi Jabłonowskiemu, kasztelanowi krakowskiemu i hetmanowi, a po nim syn jego starszy (i jego potomkowie) pan Stanisław, wojewoda ruski, był panem na tej części Ostroga.

gły dobrze wpłynąć na Ludwika, kochanego bardzo przez matkę, a psutego potem przez ojca... niczego gruntownie się on nie uczył i nie umiał; znał tylko dobrze nowożytnie języki, potrafił się podobać (szczególnie mężatkom) i wogóle bardzo go lubiano; wesołe życie, karty, zabawa kieliszkiem były przez niego chętnie uprawiane; po śmierci matki (co mogło nastąpić po r. 1800) posłał go ojciec do Bazalii (która przechodziła na jego własność), żeby się do gospodarstwa przyuczył, ale młodego Ludwika ono niebardzo zajmowało i więcej się oddawał hucznym zabawom i zjazdom licznym obywatelskim, częstym wtedy bardzo na Wołyniu, gdzie jednak pan Ludwik niezbyt długo mieszkał, bo wezwał go ojciec do siebie do Lwowa, a następnie wyprawił do Wiednia i Paryża; w stolicy Francji panicz hulał strasznie, tracąc zdrowie i pieniądze, wydając ich więcej, niż miał i mógł mieć natenczas... Z Paryża do Wiednia powrócił z pustą kieszenią, zgrany i chory; odnowił tam znajomość z domem Woynów: Ksawery Woyna, niegdyś poseł Rzeczypospolitej do Austrii, potem tajny radca wiedeński, żonaty był z Teresą Czaplicówną; w domu tym, a nawet całym rodzie Woynów poczucie polskości już bardzo osłabło, ale panna Karolina Woyńnianka, (1786—1841), podobana się panu Ludwikowi, dobrze go tam przyjmowano i w sierpniu 1805 r. z nią się ożenił, otrzymawszy dobra matki i Rokitno w Lubelskiem od ojca.

Bazalia w tym czasie wydzierżawiona została korzystnie, Hulsz dobrze sprzedany, wpłynęły więc ruble obficie do kieszeni pana Ludwika, okazał się teraz żyjącego nad modrym Dunajem; w 1809 r. trzymał się zdala od ruchu narodowego (nie tak, jak jego ojciec, mający w nim udział), umizgał się do pań, co znowu żonę gniewało; wydatki rosły, dzieci przybywały, a dawna do gry w karty namiętność wróciła, więc się fundusze zmniejszały ustawicznie; potrzeba było pomyśleć o jakimś zajęciu i stanowisku, któreby zarobku pewnego do-

starczały. Wtedy to zaczyna się początek jego kariery dyplomatycznej, ale to nie należy już wcale do zakresu naszych opowiadań i dziejów Bazalii, którą sprzedać postanowił; kiedy to nastąpiło — daty dokładnej nie znamy, ale wiemy, że w r. 1821 już nie figuruje on, jako dziedzic bazalijski; majątek ten staje się własnością innej linii tego rodu, mianowicie przechodzi do Teresy Jabłonowskiej, autorki owego herbarza, która 30 stycznia n. st. 1847 r. sprzedała Bazalię i Nową Groblę Ignacemu (synowi Franciszka) Sobieszczańskiemu.

Ów Sobieszczański miał córkę Ewelinę, żonę następnie Apolonia Ledóchowskiego (Leduchowskiego); i o nim dałoby się wiele powiedzieć, ale się wolimy trzymać w tym razie tej znanej, dawnej maksymy; *de mortuis aut bene, aut nihil..* Apolon (syn Wincentego i Anny Głębockiej) umarł w Warszawie 7 kwietnia 1886 roku; posiadał Kodnię, pomiędzy Berdyczowem i Żytomierzem.

Żona, nieszczęśliwa pani Ewelina Ledóchowska, dziedziczka Bazalii, zakończyła swój żywot marny w kwietniu 1891 roku, pozostawiwszy dwoje dzieci: Józefę, żonę Witolda Steckiego z Międzyrzecza koreckiego, i Antoniego, chorego umysłowo; oni to Bazalię i Nową Groblę odziedziczyli.

Co się tyczy zaludnienia Bazalii, to w XVIII wieku mamy dość niedokładne wiadomości: około r. 1768 miało być w miasteczku dymów 288, głów żydowskich jakoby 113; na początku zaś XIX stulecia (ok. 1813 r.) Ludwik Jabłonowski posiadał tam poddanych płci męskiej 880, a na schedzie ks. Dziegińskiego — 66; dymów żydowskich 80 (choć tych zapewne znacznie więcej się znajdowało).

Pani Ledóchowska w 1866 roku miała tam włościan 895, a ziemi z górą włók 281; we dwadzieścia pięć lat potem zaznaczono w Bazalii dymów 364, a wszystkich mieszkańców — dwa tysiące z czemś; na początku zaś XX stulecia — prawie cztery tysiące.

D. N.



P O Ł Ą G A.

6)
(dok.)

Po dwugodzinnyim pobycie wśród przeczystej przestrzeni i światła wszelkie zmęczenie nerwowe ustępuje, pamięć się zaostża, serce bije wzorowo, *casque neurastenique* znika, zjawia się za to nowa energia do życia, powraca się do domu z ulgą i wiarą, że się posiada w organizmie te siły żywotne, które są konieczne w kuracji odrodzeniowej starganych sił organizmu, czyli siły systemu nerwowego. Sezon zimowy kuracyjny dla czysto nerwowych cierpień (łącznie z bezsennością i brakiem apetytu) trwać powinien najlepiej od 15 stycznia do 1 marca n. st. Wtedy wiatr północny ustaje, trwa śliczna, stała pogoda. Z wielkich, wciąż dymiących i mglistych miast fabrycznych, z miejscowości wilgotnych, moczarowych, lubownikom swoistego piękna, malarzom, muzykom a w szczególności ludziom pióra, stęsknionym do przestrzennych krajobrazów, do pierwotnego piękna ziemi, morze, z przejrzystą atmosferą, przesyconą solą i słońcem, jasne, wieczne i w swej bajecznej zmienności niezmiennie młodość i niemal życie wrócić jest zdolne. Lud, nad niem wiek swój trawiący, cieszy się czerstwą starością, nie podlega epidemiom, nie zna skomplikowanych i zaraźliwych chorób; kobiety długo się nie starzeją, a do późna zachowują sprężystość i świeżość ruchów, żwawe są i pracowite. Powietrze bałtyckie świetnie wpływa na kolor włosów, na ich blask, elastyczność i falowanie, nie trzeba jednak maczać ich w wodzie morskiej.

Rośliny, które morze wyrzuca z głębin swoich, mało są u nas znane. Jest to dział botaniki, o którym w szkołach nic się nie mówi, a w podręcznikach botanicznych pomija. Czarno-brunatne porosty, które w nieskończonej ilości przynosi morze, najbardziej we wrześniu i październiku, składające się z dwu zasadniczych rodzajów, z największem powodzeniem używane są stale do uprawy ziemi nadmorskiej i zupełnie jałowych piasków. Plechowe zaś rośliny jasnobrunatne, rozłożyste gałęziowo, zaopatrzone w bąbelki wewnątrz puste, wydzielają jod i wedle dawnych pojęć o lecznictwie używane były na poduszcзки uzdrawiające, na których osłabione osoby sypiały. Niezliczona ilość rozmaitych roślin przybiera kolory gobelinowe, w wodzie przybierając prześliczne kształty, począwszy od barw blado-zielonych, przez wszystkie tony zgaszonej czerwieni i brunatności. Dwa razy do roku morze pokrywa się nadzwyczaj drobnymi dwuliściennymi roślinkami, które

sprawiają, iż woda ma wygląd brudny, zbeltany. Nazywa się to kwitnieniem morza.

W czasie cichych, pogodnych dni jesiennych, w płytkiej, wygrzanej przez słońce wodzie, zjawiają się szkliste mięczaki-meduzy, przezroczyste, prześwietlające przez się piasek i wodę, z różową gwiazdką w środku. Są to nietrwałe, łatwo umierające i krótko żyjące mięczaki, które poruszają się za pomocą kończyn, a w stanie spokojnym zakładają je w dwa rodzaje rysunku gwiazd na sobie. Zimą śnieżne rybitwy często krążą nad falą, a gdy woda cieplejsza, leżą na falach, udając martwe, aż porwą się ze srebrzystą rybą w dziobie, ulatując wysoko. Na przedwiośniu stada różnych ptaków, kaczek, wiele odmian nurków i alek przeciągają nad wodą (słabsze padają martwe) lub osiadają w słodkie kwietniowe popołudnie całymi tysiącami na wodzie. Kwiecień jest tam najpiękniejszym miesiącem wiosennym, jest cieplejszy od maja i stale pogodny. Wtedy morze staje się urocze: wygładzone jak atlas blado-niebieski wydaje największe kawałki bursztynu, niesie echo o staje, odzwierciadla wszystko, co je otacza; chór dziwnie słodkich głosów płasich gra, jak na dźwięcznej, monotonnej harfie, pobrzękując rozlewnie, rytmicznie i tęskno. Na horyzoncie stoi jasna poświata od zachodu słońca aż do brzasku, od kwietnia aż do końca czerwca niebo w zachodniej stronie nie gaśnie. Noce są krótkie i jasne; najkrótsza, około św. Jana trwa od jedenastej do pierwszej. Jest więc prawie ciągle dzień, przeplatany lekkim zmierzchem. Bywały lata, w które o dwunastej z północy dawało się zauważyć pulsujące światło zodyakowe, co pochodzi od trwającej w tym czasie zorzy polarnej.

Gdyby trochę więcej kultury i prawdziwego lubownictwa przyrody było naszym udziałem, wybrzeże bałtyckie miałoby swych wyznawców, protektorów i poetów. Pobyt zimowy ułatwić można dla zmęczonych, otwierając kurhaus, który powinien być ogrzewany, oświetlając miejscowości i dostarczając odpowiednich i niezbędnych wygod. Przestrzenie od strony wschodniej, przeważnie całą zimę pokryte doskonałym śniegiem, mogą być terenem dla sportu narciarskiego; wały, otaczające Połagę z północy, dostarczyłyby miejsca do sportów saneczkowych. Podróż na sezon zimowy odbywałby się mogła jedynie przez Klajpedę, to jest ze strony Prus, skąd przez rok cały

przebiegają już dziś pruskie prywatne automobile¹⁾.

Obecnie z Połagi, z chwilą rozpoczęcia szkół w całym państwie, wyjeżdża publiczność przybyła na kąpiele. Są to przeważnie ludzie przyjeżdżający dla dzieci lub na krótkie urlopy, odetchnąć świeżym powietrzem. Sezon więc kończy się 18 sierpnia st. st., właśnie wtedy, gdy kąpiele są najsukuteczniejsze i zaczyna się przepyszny, niezastąpiony nastrój jesieni, kwitnienie morza, silne działanie balsamów wszelkiego rodzaju roślin i działań atmosferycznych. Ci nieliczni, którzy zostają z „sezonu“, są to właściciele specyficznych willek bez pieców i oczywiście nie mogą, mimo dobrych chęci, należycie ocenić uroków morza w jego najbogatszym w nastroje sezonie, marząc całe noce w nieopalonej sypialni.

Dawniej Połaga była uprzywilejowanymi kąpielami morskimi właścicieli ziemskich ze Żmudzi i Rusi podinflanckiej. Przed 1863 r. tłumnie jeździła szlachta z całym taborem powozów, furgonów, służby, kucharzy, mebli i sprzętów, wynajmując chaty włościańskie, blisko morza stojące. A Połaga, wtedy wśród borów tonąca, ożywała się na chwilę, jak za czasów, gdy obozy koronne rozkładały się w cieniu prastarych sosen i kurhanów. Józef Tyszkiewicz, jeżdżący sam również tylko na kąpiele do Połagi, uważał się za gospodarza owego zjazdu panów. Przyjmował i gościł. Dbał o wszystkich, jak w domu swoim o gości, starał się uprzyjemnić pobyt. Wybudował „resursę“, wyprawiał składkowe bale, w których z całą rodziną brał udział. Występował starym obyczajem, serdecznie, wesolo i hucznie, tak serdecznie, że sam nieraz kosztował potraw, zanim gościom zostały wydane.

Pierwotny kurhaus stał w tym miejscu, gdzie dziś willa Zbyszek. Dzisiejszy kurhaus, przerobiony jest z prywatnego mieszkania Józefa hrabiego Tyszkiewicza i jego rodziny, a wprost parku stojąca „Szwajcarka“ była oficyną, w której on sam najczęściej przebywał²⁾.

Dzisiejszy pomost w morze zbudowany był przez Tyszkiewicza prywatnie z własnych lasów, ako przystań dla prywatnego parowca, który woził gości z Lipawy. Pomost ten ciągnął się daleko (?) w morze a poczynął się na wprost dzisiejszej willi „Świtez“, która jest prze-

robiona z zajazdu, zbudowanego jednocześnie z pomostem. Parowiec i zajazd nosiły nazwę „Phoenix“. Po pomoście woły wozły w ciężkich wozach cegłę z cegielni do dziś istniejącej; cegła była ładowana na okręt, potrzebujący balastu. Właściciel powozami wjeżdżał na pomost wraz z publicznością, oczekującą przybycia statku. Na pomoście był rodzaj kantoru, z którego szedł do Połagi telefon. Przesłiczna ta zabawka była bardzo kosztowna a stawała się nią coraz bardziej, gdyż dno morskie zaczęło się podnosić skutkiem okrężnych fal, spotykających zawadę w postaci potężnych bali. Przystań stawała się coraz płytsza, morze gwałtownie ustępowało. Lokomobila musiała pracować dzień i noc, pogłębiając dno, koszty stawały się zatrważające. Pomost trzy razy przedłużano, wszystko na próżno. Aż wreszcie zaniechano dalszych usiłowań. Jeszcze przed dwudziestu laty „Phoenix“ przyplynał po raz ostatni. Stanął w oddali, szalupy przybijały do pomostu, jak to obecnie czynią nadgraniczne statki celne.

I tak z biegiem lat przystań zamieniła się w pomost do spaceru. Spacer po nim jest nadzwyczaj miły, daje wiele niezastąpionego uroku, zbliża z głębiną, z życiem na otwartym morzu. Z pomostu można obserwować zwierzęta morskie: delfiny, lwy morskie, foki — acz rzadko¹⁾. Przepyszne bicie fal o zakręt poprzeczny jest prawdziwą kąpielą odświeżającą dla nerwów. Efekty zachodu słońca i księżyca, noce w czasie pełni wryły się w niejednym sercu zakochanem.

Ale pomost skutkiem niedającego się wyobrazić ustąpienia morza w trzech częściach swych znalazł się na piasku; jedną część jego zdjęto w roku 1904, tak że teraz już trudno wskazać, gdzie pierwotnie okręt przybijał. Miejsce to wypada tam, gdzie teraz znajdują się ostatnie wydmy i kwitnie wydmuchrzyca. Może więc śmiało każdy tam będący powiedzieć sobie, że stąpa po dnie morskiem.

Cukiernia nad morzem, łazienki i kąpiele ciepłe stanęły od 1901 do 1910 r. Obecny właściciel Połagi okazał wielką względność w szeregu ułatwień przy kąpielach zimnych, stosując się do zmiennego upodobania publiczności. Pierwotnie każdy miał wynajętą budkę, którą sam na kluczyk zamykał, sam zamiatał brzoźową miotłą i sam przynosił wodę do obmycia piasku ze stóp po przejściu z wody. Z tej pierwotności obecny właściciel przeniósł kąpiele do wspólnej grupy i dodał służbę. Potem, różne

¹⁾ I to nie z Kłajpedy, ale ze stacji najbliższej kolei pruskiej, o niecałe 10 kil. odległej, podczas gdy z Kłajpedy do Połagi jest 22 kilom.

²⁾ Willa „Chilon“ jest przerobioną kuchenką dawnego kurhausu. „Bałtyk“ i „Aldona“ ze stajen.

¹⁾ Rok 1913 należy zaliczyć do wyjątkowo obfitych w faunę morską: ukazały się bowiem foki od lat 30 niewidziane na łądzie.



WYBRZEŻE MORSKIE POD HOLENDERSKĄ CZAPKĄ (POŁĄGA).

zob. Pol. Tęto. Krajozn.

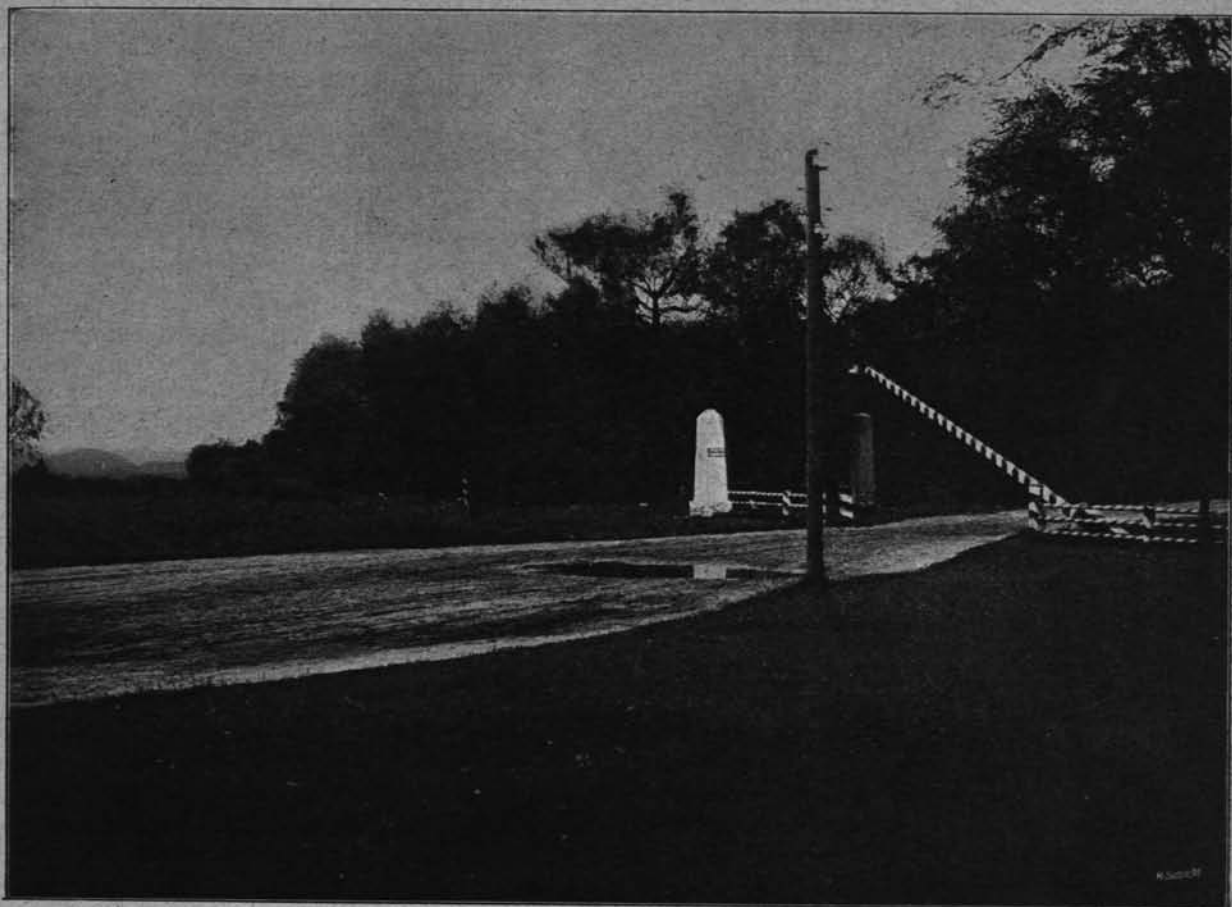
fazy przechodząc, na żądanie publiczności zastosował kabinki na kołach, wwożone do morza, aby było tak „jak zagranicą”. I ten sposób okazał się niezadowolającym, i teraz nad morzem stoi wygodny pawilon na wzór ryskich na wybrzeżu urzędzeń. Jest służba, zegar, chorągiewka, oznaczająca zdala godziny dla pań i dla panów, schodki wprost do morza, lina bezpieczeństwa; łódź i poduszka ratunkowa, pasy do pływania do wynajęcia, rybak do ratowania tonących, kara za oddalanie się zbyt daleko i sygnał, ale wciąż dają się słyszeć głosy niezadowolonych.

Po roku 1863 Połoga stała się siedliskiem osób, które bądź powróciły z wygnania (pierwotnie bowiem, podlegając konstytucji kurlandzkiej, miała ulgi w prawach osiadania wygnańców) bądź ziemiaństwa, w jakibądź sposób zrujnowanego przez burzę krajową. Przez szereg lat jedyną jej ludność stanowili prócz włościan i w oddzielnej dzielnicy trzymających się Żydów ziemianie o wyższej kulturze duchowo - umysłowej, przedstawiciele schodzącej do grobu epoki, generacji skłonnej do altruizmu i entuzjazmu a często do bohaterstwa. Byli to ludzie o nazwiskach często historycznych, którzy jak rozbitki przywieźli ze sobą ciekawe

pamiątki i niezatarte wspomnienia. Zwolna schodzili kolejno do grobu — ostatni Mohikanie. Dzisiaj zostały dwa domy jeszcze z tej epoki, wyróżniające się wśród napływowej później ludności. Do nich zachodzi każdy podróżny, żądny wiadomości o Połodzie, w nich znajduje żywą tradycję, niewyczerpany skarb kroniki dziejów otaczającej okolicy; gdy idzie o skłecenie rusztowań rozwianego w przeszłość gmachu, do nich trafiają chciwie oczy miłośników tego, co przeszło, zdziwione twarze roz-targnionych przechodniów.

W jednym z nich mieszka sędziwa matrona, córka Jana Maurycego Hryszkiewicza, autora i tłumacza, który pierwszy raz Żmudzi uwolnił swych włościan od pańszczyzny roku 1846, wnuczka Ludwika z Wolańskich, tłumaczki Piśma Świętego wierszem z francuskiego na niemiecki. Była naocznym świadkiem wypadków r. 1863, w których brała udział przez męża, krewną dyktatora Chłopickiego i historyka Ad. Naruszewicza, bratanką Aleksandra Hryszkiewicza, pierwszego awiatora polskiego (wychowaniec uniwersytetu wileńskiego, twórca maszyny do latania, na której wzleciał, ale którą lądując roz-trząsał 1850 r.).

Druga — Billewiczówna z domu, z auten-



fol. ze zb. Pol. Teo. Krajozn.

GRANICA ROSYJSKO-PRUSKA POD POŁAGĄ.

tycznych sienkiewiczowskich Billewiczów z Wodoktów.

*

Połaga odznacza się dotąd tem, że niema w sezonie na plaży tej zlej kultury bulwarowej, wobec której młode kobiety i młodzientki dziewczątka czują się, że się tak wyrażę, uciśnione. Zaniechamy bliższych określeń. Sapienti sat. Dystygowana swoboda i prostota panuje tu ogólnie, a jeżeli się zdarzy i zabrzmi jakiś ton fałszywy, zamilknie i zginie natychmiast.

Jeszcze na zakończenie dodać wypada o połagowskiej parafii, fundowanej przez królową Annę Jagiellonkę. Stary kościół został rozebrany w r. 1906, jako niewystarczający dla powiększającej się parafii. Był to bydynek drewniany, w krzyż z dwiema bocznymi nawami i z osobno stojącą dzwonnica. Przedstawiał on pewien powszechny na Żmudzi typ kościołów, które obecnie, jak wspomnieliśmy powyżej, ustępują murowanym.

Dawne te kościoły kryte są blachą, posiadają dwie wieże frontowe lub jedną środkową. Stopnie do ciężkich drzwi drewnianych zastępują glazy polne. Kropielnica u wejścia w babińcu wyżłobiona bywa w niepozierowanym, na-

turalnego kształtu kamieniu. Wnętrze dawnego połagowskiego kościoła pochodziło z okresu rozbiórów kraju, to też ołtarze i ambona była w stylu naiwnego rokoka, co częściowo dotąd zachowało się w nowym kościele zbudowanym w stylu bałtyckiego gotyku ceglanego.

Jeszcze o rzece pod Połagą.

Jest to rzeka, którą zwą po polsku Rąza; rodzinna jej nazwa jest „Rózia“, czyli Róża. Jest to jedna z wielu rzeczek typu nadbałtyckiego, wpadająca trzema odnogami do morza. Wiosną wzbiera. W miejscu, gdzie jest przez nią rzucony most rządowy, jest najpłytsza, o jakie zaś tysiąc metrów przed ujściem jest głęboka. Ujście, jak zwykle u małych rzek nadbałtyckich, przedstawia zaledwie parę cali głęboką warstwę wody, posiada jednak dno choć jasne, ale u samego ujścia tak zdradzieckie, że mogłaby w mule swym piaszczystym pograżyć nie tylko człowieka, ale i konia z bryczką, gdyby dłużej nieruchomo się zatrzymał. Bywały nawet niespodzianki, np. gdy koń zatrzymał się pić wodę i niepostrzeżenie znalazł się unieruchomiony po pierś. Dlatego na tem miejscu wspominamy o tem, że w czasie sezonu częste bywają narzekania i skargi na „kałużę“ która stoi w pośrodku miasta pod mostem i odzywają się głosy hygienistów, że

stojąca woda to zaraza, oraz propozycje zasypiania „kałuży“.

Oczywiście całą rzekę zasypać trudno, częściowo byłoby niedorzecznie, bo kilkunastowiorstowa Rąza nie jest kałużą, równie jak

morze Bałtyckie nie jest „bajorkiem“, chociaż nazwał je tak jakiś „ktoś“, przyjeżdżający do Połagi „wprost z zagranicy“ w prześliczny dzień lipcowy i wyjeżdżający z Połagi „wprost do Karlsbadu“.



B. Janusz.

Z wycieczek po Brzeżanach i okolicy.

Nie sprzyjał rok ubiegły wyprawom naukowym, bo „inter arma silent musae“, ale i nie lepiej się wiodło skromnym wycieczkom, zakreślonym choćby na obszar kilkunastu kilometrów kwadratowych. Ciągłe deszcze, ustające chyba na to, by pozwolić wyschnąć nieco zabagnionym łąkom i podmokłym drogom, specjalnie u nas i bez tego niezbyt zachęcających do podróżowania, zraziły od przedsięwzięć podobnych nawet najzagorzalszych turystów, taterników i wędrowców.

To też najmożliwiej jeszcze tych wakacyi wiodło się letnikom, co mając do wyboru między zielenią pól i lasów, a dusznym powietrzem miasta, wybrali coś pośredniego, a mianowicie jakieś Brzeżany, Radziechów lub Złoczów. Improwizowane te letniska mają to do siebie, iż łączą zgodnie w sobie czary wioski z istotnymi właściwościami miasta, pożądanymi zwłaszcza w porze deszczowej — nie potrzeba koniecznie brodzić po błocie i nurzać się w przepastnych kałużach, a ma się natomiast chwilami, a właściwie stale wrażenie, iż jest się wśród pól, łąk, lasów i t. p. cudów wiejskich. Prawdliwość tego twierdzenia zaświadczyć mogą całomiesięcznym pobytem w jednym właśnie z tych letnisk, a to w sławnym mieście Brzeżanach, głośnym ze swego stawu, który w chwili, kiedy to piszemy, zamyśla właśnie nadmiar wód swoich wylać przez groblę na miasto, położone „u stóp“ jego. Rzadko jakiemu miastu trafia się, żeby nad głowami swemi czuło stale miłe wprowadzie, ale nie koniecznie bezpieczne sąsiedztwo olbrzymiej tafi wody, trzymanej w przyzwyczajonej odległości od ratusza jedynie przez płochą groblę, a takie dziwo posiadają właśnie

Brzeżany. I nie tylko staw głosi sławę grodu Sieniawskich! Posiada on jeszcze zamek starożytny, a w nim browar (ale już nie starożytny!), posiada przewspaniałą kaplicę z pomnikami, na których ongi celności pocisków kamiennych wypróbowywało młodsze pokolenie brzeżańskie, a które teraz błyszczą pstrokatymi nosami, palcami i uszyna, odpadającymi do tego powoli, posiada malowniczo wzniesioną farę, zgrabny kościółek ormiański, nazwany tak, zdaje się dlatego, iż nigdy w nim noga żadnego Ormianina nie postanie, i wreszcie panujący nad miastem klasztor bernardynów wraz z ładną istotnie okolicą. Czyż nie dość wszystkiego dla letnika, przekładającego piękność własnego kraju nad przechwalone czasem cuda u obcych?

Z deszczem — który, broń Boże, nie ja przywiozłem ze sobą ze Lwowa — zjechałem w końcu lipca ubiegłego roku do Brzeżan. Miałem tu spędzić miesiąc wywczaśów wakacyjnych, a zatem obejrzeć się należało za jakąś siedzibą. Z kłopotu tego wybawił mnie jednak niebawem uprzejmy „fachowiec“, który, nie wiele konferując, ulokował kufry i pakunki na wehikuł arcyprywatny, względnie mocno nieczysty, i z gestem majordomusa zaprosił do „Hotelu Europejskiego“. Nie było więc rady — odmówić tak grzecznemu zaproszeniu nie wypadało! W kilkanaście minut znalazłem się przed najwspanialszym budynkiem na rynku, podziwiając jego piękne kolumny kamienne, balkon ukwiecony nad niemi i wielką tarczę kamienną z jakimś herbami — z fasady, zdobnej prócz tego w kamienie rzeźbione, widać, że budynek ten zanim zajazdem został, był siedzibą pańską

w końcu wieku XVIII lub początku XIX. Wewnątrz rozwiłmożnił się oczywiście już od szeregu lat zwykły szablon hotelowy, ale nie-brak drobnych resztek, wskazujących na da-wną świetność. W niektórych pokojach oglą-dać można ładne klamki brązowe u drzwi, które pamiętają jeszcze, kiedy sosna nie uda-wała dębiny ani orzechu, lecz owszem pyszni-ła się naturalną krasą swych słoj, uwydatnio-nych politurą, o jakiej — jak powiada p. St. Kruk, mistrz w swoim zawodzie — dzisiejsi stolarze pojęcia nawet nie mają. Gdzieniegdzie na ścianach zobaczy się też jakiś obraz lub lustro w pysznych ramach machoniowych — ślady to, możliwe, dawnego urzędnika pałaco-wego, o ile nie spadek po jakimś wyprzedają-cym się ze starożytności dworze sąsiednim. Poza tem „Hotel Europejski“, to typowy za-jazd prowincjonalny ze stajnią, końmi i wozo-wnią od podwórza, a wiecznie psującym się dzwonkiem od frontu.

Posiadają Brzeżany dwa opracowania mo-nograficzne, ale autorowie ich prawie że nie uwzględniłi poza historią innych szczegółów, zasługujących niemniej, a może i bardziej na uwagę. Przekonać się mogłem o tem, spoty-kając co krok niemal to ciekawy dworek, to starszy budynek, to wreszcie malowniczą gru-pę drzew, figurę przydrożną lub pomnik jakiś, nie mówiąc oczywiście o zabytkach, z których Brzeżany w całej Polsce słyną. O wszystkim tem, prócz kilku najwybitniejszych okazów architektury, ani wzmianki nie znajdziesz w opi-sach miasta. Wspominają one o zamku, kapli-

cy zamkowej, kościele farnym, klasztorze ber-nardyńskim, kościele ormiańskim i cerkwi ru-skiej, ale nadaremnie szukać w nich choćby kilku słów o owych istotnie ładnych, tyle chara-akterystycznych dla miasteczek naszych domach z kolumnami od frontu, krytych mansardem gonto-wym i zdobnych w powabne kominy i dymniki.

I nie tylko o tem zamilczeli dziejopisowie grodu Sieniawskich — nie zajęły ich przepy-szne w swoim pięknie rodzimem dworki, rzad-kie i coraz rzadsze bramy wjazdowe, liczne a ciekawe pomniki na cmentarzu dzisiejszym i dawniejszym (t. zw. cholerycznym), wspania-łe zgrzybiałym swym wiekiem płyty grobowe na cmentarzu żydowskim, przedstawiającym dla ma-larza niewyczerpane wprost źródło motywów artystycznych, i milczeniem zbyli wogóle wszy-stko, co tak dodatnio świadczy o dawnej kul-turze miasta. O istnieniu cennych tych zabytk-ów nie wiedziałem nic przedtem, bo i nikt się nimi dotychczas nie zainteresował — od-kryłem zaś je i bliżej się z nimi zapoznałem dopiero na miejscu, dzięki ciceronowi, jakiego posiadałem w osobie wrażliwej na powabne ich piękno i interesującej się ich losem, panny Eu-genii Rudominianki, która z głębokim senty-men-tem, właściwym wszystkim córom pięknej zie-micy nadniemeńskiej, wyczuwając intuicyjnie najsztudniejsze efekty estetyczne, czy to dzi-kiem winem oplecionych malowniczo występów podcieniowych, czy też powabnie załamanych dachów gontowych lub też patyną mchów okry-tych płyt grobowych, niemało mi ich wskazała, niemało wogóle odkryła.

C. D. N.



Al. Janowski.

Imigracya polska w Stanach Zjednoczonych. 8)

VIII. Polacy w rolnictwie. (Poles in Agriculture).

Blisko 300 stronici druku i kilkadziesiąt ta-blic w 84 woluminie „Senate Documents“ jest poświęcone sprawie gospodarki polskiej na roli.

Cały ten dział to jeden wielki hymn uznania dla pracy naszej w rolnictwie, a Komisya Imi-gracyjna stawia nas na czele wszystkich pra-cowników rolnych.

W dwudziestu siedmiu Stanach rozrzucone są farmy polskie i wszędzie z jednakim zapa-

tem ten rolnik z dziada pradziada pracuje, czy to sadząc ogromne pola kartofli w Wisconsinie, czy plantując bawełnę w Texasie, czy pielęgnując całe farmy cebuli w Stanach Nowej Anglii lub grzędy tytoniu w Massachusetts.

„Polacy są najpierwsi wśród pionierów“, mówi raport Komisji, przy opisie grupy osad „Sobieski and Pulaski“ w Wisconsin, gdzie obecnie karczują jeszcze dawne puszcze, „nie zniechęcają się trudnościami, posiadają w wysokim stopniu dar inicjatywy. Za tanie pieniądze nabywają grunty, które Amerykanie, Niemcy i Skandynawi uznali za niemożliwe do gospodarki“.

Sama Komisja stwierdza, że ziemie w Wisconsin, gdzie 20 lat temu były gęstwiny leśne i nieprodukcyjne bagniska, dziś w 90% są urodzajne pola, wydarte dzikiej naturze ręką farmera polskiego.

Ten rolnik od przedmieszkowych czasów, pogonią za groszem rzucony do kopalni Pennsylvanii lub hut Ohio, przy pierwszej nadarzonej okazji wraca na rolę, śrubuje ceny sprzedażne, znacznie podwyższył ceny dzierżawne w dolinie Connecticut, a gdy obrabiana przez ojców ziemia Wisconsinu jest już zbyt droga, wędrują synowie farmerscy do leżących jeszcze odłogiem obu Dakot i Minnesoty, podnosząc procent farmerów z 30, jaki przedstawiali ojcowie, do 38, jaki jest wśród drugiego pokolenia.

Wszystko to dzieje się w ciągu bardzo krótkiego czasu, cała bowiem kolonizacja rolnicza zaczęła się w 1854 roku, gdy ks. Moczygęba zabrał 30 rodzin z Górnego Śląska i wywędrował do Texas. Założyli Ślązacy wieś pod nazwą Panna Marya, po niej wzniesli Częstochowę, a w ten sam sposób formowały się farmy polskie w 1857 r. koło Stevens Point w Wisconsinie, gdzie wzniesiono miasto Polonia, Toruń, Casimir. W 1864 r. osiedliła się grupa Ślązaków koło Independence w Wisconsin, pobudowali sobie Swolkowice. W 1872 r. osiedli Poznaniacy w południowej części Illinois, a podążyli za nimi Radomiacy i wzniesli miasto Radom. Jest w Missowie Kraków, są Warszawy, Poznań, Kalisz i t. p.

Gospodarstwa niektóre są bardzo zamożne: w Portage County w Wisconsinie są farmy cenione wyżej niż 5,000 dolarów, koło Independence nad 10,000 dolarów, koło Radomia w Illinois nad 15,000 dolarów.

„Każdy rok stwierdza wielki postęp na far-

mach polskich“ pisze w raporcie delegat Komisji, „domy mieszkalne i zabudowania farm są coraz lepsze, inwentarz doskonalszy, zbiory obfitsze“.

Polacy w Texas zbierają z akra więcej bawełny niż Amerykanie i Niemcy, a kupcy wyróżniają ich bawełnę, jako lepszą w gatunku.

Lubi farmer polski przeważnie gospodarkę zbożową, po staremu, wyjątkowo tylko warunki rzucają go na bawełnę, tytuń lub warzywa. Nie produkuje kwiatów ani owoców, choć bardzo chętnie i łatwo przyjmuje wzory gospodarskie od Holendrów, Francuzów, Szwedów i Niemców.

Kolonie polskie mieszane są czasem z innymi narodowościami: są farmy polsko-czeskie w Connecticut, polsko-rumuńsko-żydowsko-niemieckie w N. Jersey, polsko-włoskie w Stanie New York, polsko-litewsko-słowackie w Massachusetts, a nawet polsko-indyjskie w Wisconsin.

Nabywszy jakieś obszary, zakładają zaraz parafię, budują kościół i szkołę parafialną. Kształcenie dzieci zwykle na owej szkole kończą. Synowie farmerów polskich nie garną się do szkół agronomicznych, które zapełnia młodzież niemiecka i skandynawska.

O ile wszystkie pochwały o naszych rolnikach czyta się z radością, to jednak trudno oprzeć się myśli, że przecież z tego elementu do kraju nic nie powróci. / Komisja zaznacza, że już, od dzieci ponad lat sześć biorąc, włada językiem angielskim 78,4% Polaków, że w drugim pokoleniu prenumerują gazety rolnicze i mają książki rolnicze angielskie, trzecia zaś generacja jest już „całkowicie amerykańska w myślach i zamiarach“.

63% farmerów polskich przyjęło już obywatelstwo Stanów Zjednoczonych, 15,0% stara się o nie. U Włochów tylko 48,8% jest „cizenów“, u Słowaków 23,8%, u Czechów 58,3%, u Żydów 53,8%.

Czyż można nawet łudzić się, że nasz farmer porzuci z takim mozolem wydarty skąpej naturze kawałek ziemi, w który tyle włożył pracy, zabiegów i marzeń?

Komisja Imigracyjna stwierdza, że z pośród imigrantów Polacy najbardziej są przywiązani do swej macierzystej ziemi, najdłużej trzymają się swego obyczaju i tradycji, ale czyż taki wnuk, a nawet syn przybysza, człowiek, co nigdy Polski nie widział, a mało co nie słyszał, może być „Polakiem w myślach i zamiarach?“



Listy do Redakcyi.

Uważam za konieczne zaznaczyć, że w Nr. 21 „Ziemi” na str. 314 w artykule „Zamek w Łowiczu” w podpisach pod fotografiami przedmiotów z moich zbiorów mylnie napisano *Krzyże żelazne z dachów domów łowickich*, (na domach w Łowiczu były *pa-szury i piramidy*), zamiast jak być powinno *Mon-strancya — ozdoba krzyżów przydrożnych, powszechna w niektórych parafiach na księstwie łowickiem*.

Krzyż z chorągiewką pochodzi z wieży przy kościele św. Ducha w Łowiczu, od roku 1604 nie dokończony, a przy jej dobudowywaniu zdjęty w roku 1904.

Krzyż ażurowy jest ze starego kościoła w Zdunach, rozebranego w r. 1906.

Pomiędzy konwiami cechu rzeźniczego stoi *pu-har* — „bratyna” — konfraternii kupieckiej w Łowiczu, księga i pieczęć tejże konfraternii.

Wł. Tarczyński.

oooooooooooo

Z Pol. Tow. Krajoznawczego.



W d. 30 maja r. b. o godz. 5 min. 3 pp. z dworca Brzeskiego kl. III wyruszyła wycieczka do Miechowa i Szczekocin w liczbie 32 osób pod przewodnictwem p. Tadeusza Podkomorskiego. Wycieczka ta była przygotowana od kilku miesięcy z dużym nakładem pracy i zabiegów przewodnika.

Do Miechowa wycieczkowicze przybyli nad ranem. Tu oczekiwali delegaci oddziału Miechowskiego z prezesem Jaskłowskim na czele. Z dworca wycieczka udała się drabiniastymi wozami do miasta, odległego od stacji osiem wiorst (kolej dojeżdża właściwie do wsi Charsznicy). Po krótkim wypoczynku, doprowadzeniu tualet do porządku i śniadaniu z niezależnych od organizatora wycieczki względów zmieniono marszrutę: pomijając Raclawice, skierowano się do Książa Wielkiego, gdzie się znajduje kościół z XIV w., zamek z XVII w., własność Wielopolskich, i prześliczny wzgórzysty park. Po drodze podziwiano malownicze położenie wsi, jak Podleśna Wola, Siedliska i inne, jary miechowskie i wogóle uroczne wzgórza i doliny. Aparaty fotograficzne pracowały i słuszenie.

Z Książa Wielkiego wrócono ze znacznym zmęczeniem do Miechowa, gdzie zwiedzono w ogólnych zarysach miasto, a szczegółowo, korzystając z objaśnień p. Jaskłowskiego, bazylikę bożogrobców, skarbiec, kaplicę Grobu Jerozolimskiego, jedyną w swoim rodzaju na całym terenie Polski, Muzeum miejscowe, utrzymywane staraniem p. Czarnowskiego, wreszcie salę portretową przy mieszkaniu ks. Kwiatkowskiego, w której mieszczą się wizerunki

generalów zgromadzenia miechowitów. Zakon ten, stróżów Grobu Chrystusa, został w XII w. sprowadzony do Polski i na uposażenie otrzymał 3 wsie: Miechów (podobno osada to prehistoryczna), Zagórze i Komorów.

Wycieczkowicze wysłuchali w sali teatru miejskiego odczytu o Miechowie, wypowiedzianego przez p. Wacł. Jaskłowskiego, następnie po krótkiej przechadzce wszyscy udali się do hotelu Witkowskiego, gdzie spożyli kolację z członkami oddziału Miechowskiego. Po kolacji wycieczka spędziła bardzo mile czas pewien w mieszkaniu p. Wyczałkowskiego, dyrektora szkoły, słuchając dobrej gry fortepianowej i udatnej deklamacji dwóch uczestników wycieczki.

Noclegi w miejscowej szkole były bardzo wygodne i nader czyste.

Nazajutrz rano wyruszono do Żarnowca. Zwiedzono tam miejsce poza miastem, gdzie wznosił się w XIV w. zamek, początkowo drewniany, kościół miejscowy i skarbiec i, mimo zagrażającej burzy, przez wieś Wielkie Łany, w okolicy których niegdyś położony był sam Żarnowiec, podążono do Szczekocin, gdzie spotkało wycieczkę entuzjastyczne powitanie niemal całej osady: popisy straży ogniowej na rynku i defilada ceremonialna całego oddziału przed oczyma wycieczkowiczów, tusz orkiestrowy, zwiedzenie kościoła, starodawnej bóżnicy, zbudowanej w XVIII w. przez starościnę wólbromską Dembińską, parku i pałacu Halpertów (niegdyś Dembińskich i Łubieńskich), mogiły w parku z 1794 r., cmentarza i obejrzenie cennych makat z monogramami Stanisława-Augusta, jakoby przez Kościuszkę podarowanych miejscowemu kahalowi, oraz wartościowych koron rodawych—oto wszystko, co złożyło się na zwiedzanie Szczekocin. Wieczorem wycieczkowicze w parku pp. Ciesielskich zasiedli do wspólnej kolacji, do której przegrywała orkiestra strażacka. Park uiluminowano barwnymi lampionami.

We wtorek ostatniego dnia zwiedzano okolice Szczekocin, skąd ruszono do Słupi: tu w gościnnym dworze pp. Dreckich spożyto śniadanie przy wytwornej zastawie stołowej.

Ze Słupi podążono do Sędziszewa na pociąg, odchodzący do Warszawy o 1-ej z min. pp.

Do Warszawy wycieczka przybyła o 11 min. 40 wiecz.

Przewodnikowi p. Podkomorskiemu wycieczkowicze dziękowali serdecznie za poniesione trudy i mozolne a staranne przygotowanie wycieczki.

P. Włodz. Łąckiemu z Janowiczek za uprzejme nadesłanie koni do Miechowa i łaskawie zaofiarowaną gościnę, z której z żalem wielkim wycieczka z przyczyn od niej niezależnych skorzystać nie mogła, pp. Ciesielskim i panu Zajączkiewiczowi w Szczekocinach, pp. Dreckim w Słupi, pp. Siekierzyńskiemu, Keffersztajnowi, Jaskłowskiemu i wogóle wszystkim, którzy w ten czy inny sposób przyczynili się do wykonania programu wycieczkowego, Komisya Wycieczkowa składa serdeczne podziękowanie.

+ Prezes Polsk. Tow. Krajoznawczego w Warszawie i redaktor „Ziemi”, p. Kazimierz Kulwiec

wyruszył d. 23 czerwca na czele 47 osób na wycieczkę na Czarne morze, o której pisaliśmy obszerniej w Nr. 22 „Ziemi”. Po ukończeniu wycieczki p. Kulwiec uda się do Zakopanego, skąd wróci do Warszawy w początkach września.

+ Pod przewodnictwem wiceprezesa Pol. Tow. Krajoznawczego p. Mikołaja Wisznickiego wyruszyła d. 24 czerwca r. b. wycieczka, złożona z osób obojga płci, która dojechawszy koleją do Wierzbnika, stacji drogi żel. Dęblińsko-Dąbrowieckiej, przejdzie przez Ś-ty Krzyż, Łagów, Raków, Szydłów, Solec, Wiślicę, Rogów, Bejsce, Kościelec, Książnice, Proszowice, Raławice, Koniuszę, Ojców, Korzkiew, Pieskową Skalę, Olkusz, Sławków, Sosnowiec, Będzin, Siewierz, Bobolice, Złoty Potok i Olsztyn do Częstochowy. Z bardzo nieznacznymi wyjątkami całą drogę — około 328 kilometrów wycieczka przejdzie w ciągu 19 dni pieszo. Jest to już druga z rzędu wycieczka piesza przez prof. Wisznickiego na Wyżynę Małopolską przedsięwzięta z udziałem pań, które, jak dowiodła tego wycieczka zeszłoroczna, nie gorzej zupełnie od panów znoszą trudy pieszej podróży.

oooooooooooo

Z naszej turystyki.

Dnia 28 maja r. b. wyruszyła z Kurytyby (st. Parana w Brazylii) polska piesza wyprawa dookoła świata złożona z 6 Polaków.

Wyprawa zamierza przejść przez następujące kraje: 3 stany brazylijskie Parana — St. Kataryna i Rio Grande do Sul; republiki połud. Ameryki: Uruguay, Argentyna, Chili, Peru, Ekwador, Kolum-

bia, Wenezuela — rzecyp. Ameryki Środkowej, Amerykę Północną, Azję i Europę.

Wyprawa ma sprzedawać w czasie swej podróży pocztówki, wygłaszać odczyty, zbierać okazy ze świata zwierzęcego, roślinnego i mineralów oraz robić zdjęcia fotograficzne i dawać korespondencje z podróży do prasy polskiej. Będzie również prowadziła stale dziennik podróży.

oooooooooooooooo

Ze stowarzyszeń.

+ Na LX posiedzeniu w d. 17 lutego 1914 roku Wydziału Konserwatorskiego Tow. Opieki nad Zabytkami Przeszłości omawiano następujące sprawy.

Na posiedzeniu tem, odbytem wspólnie z Zarządem, rozpatrzono dwie nader doniosłe sprawy, wiążące się ściśle z zasadniczym programem działalności T-wa.

Sprawa tynkowania zamku na Wawelu. Wobec powziętej w grudniu r. z. uchwały Komitetu restauracyjnego, aby elewacje zamku pozostawić bez tynków, co wywołało znaczną rozbieżność zdań, uproszony w tym celu p. Wiśniowski wygłosił obszerny referat, ilustrowany licznymi przezręczkami, w którym, streszczając historię budowy zamku, prelegent wypowiada się, łącznie z opinią architektów, należących do Komitetu, i krakowskiego Koła Architektów, przeciwko uchwale Komitetu, motywując szczegółowo swe stanowisko. Jako najważniejsze względy, przemawiające za koniecznością przywrócenia tynków, referent przytacza: nieregularne wiązanie cegły mieszanej z kamieniem, oraz niestaranie obsadzanie części ciosowych, świadczące, że mury były odrazu przeznaczone pod tynk, jak również dowiedziony fakt, iż już za czasów Zygmunta III cały Wawel był tynkowany. Nie mniejszą rolę odgrywa moment artystyczny barokowego charakteru całości, nie liczącego zupełnie z surową cegłą. Po dłuższej dyskusji, podtrzymującej wnioski referenta, postanowiono jednomyślnie wystosować podanie do marszałka krajowego z prośbą o przeprowadzenie rewizji tak doniosłej uchwały z udziałem reprezentantów powołanych do tego towarzystw.

Sprawa utworzenia funduszu kon-



POLSKA PIESZA WYPRAWA DOOKOŁA ŚWIATA (Z LEWA NA PRAWO) 1) MAREK SCHLOSSER, 2) ALEKSANDER SWIRSKI, 3) WIĘCZYSLAW PIOTROWSKI, 4) WLADYSLAW WYROZĘBSKI, 5) JAN FIRLA

serwatorskiego. P. J. Klos zreferował poruszoną na poprzednim posiedzeniu zasadniczą sprawę, zwracając uwagę na coraz częstsze wypadki burzenia ciekawych zabytków, zwłaszcza kościołów drewnianych, li tylko z powodu, iż uboga parafia nie jest w staniełożyć na konserwację jednocześnie dwóch kościołów. W tych wypadkach najenergiczniejsza choćby akcja T-wa nie osiąga skutku, i jedynym środkiem uratowania takich zabytków od zagłady byłoby konserwowanie ich na koszt T-wa, którego budżet nie pozwala jednak na tak znaczne wydatki. Dlatego referent proponuje szereg środków w celu stworzenia znacznie większego funduszu, poświęconego na cele konserwacji. Po dłuższej, bardzo ożywionej dyskusji postanowiono: 1) urządzić co dwa tygodnie pogadanki dla członków z pokazami przezroczy w sprawach bieżących T-wa w celu zainteresowania szerszego ogółu temi sprawami, 2) przedsięwziąć szereg wydawnictw dochodowych, ilustrujących ciekawsze zabytki, i 3) postawić na najbliższym zebraniu dorocznym wniosek dobrowolnej składki dodatkowej na fundusz konserwatorski, oraz wstawić do najbliższego budżetu większą sumę do dyspozycji Wydziału.

Zarząd Akad. Koła Straży Polskiej ogłasza niniejszym konkurs na prace z zakresu krajoznawstwa. Rozprawa ma być sprawozdaniem z wycieczki, odbytej po ziemiach polskich, i może omawiać albo pewną miejscowość polską, albo też może obejmować jedną, ewentualnie kilka dzielnic Polski. W pracy tej należy uwzględnić przede wszystkim stosunki: gospodarcze, ekonomiczne, narodowościowe, geograficzne, etnograficzne, folklor i t. p. i można albo jeden z powyższych tematów opracować szczegółowo, lub kilka ogólnie. Za dwie najlepsze prace wyznacza się dwie nagrody: I-szą w kwocie 50 koron, II-gą w kwocie 25 koron. Prace należy nadsyłać najdalej do końca października 1914 r. do Akad. Koła „Straży Polskiej” w Krakowie (Gołębia 20) w zamkniętej kopercie, a w drugiej kopercie, opatrzonej tem samem godłem, należy podać imię, nazwisko i adres autora. W skład sądu konkursowego wejdą: 1) profesor Uniwersytetu, 2) reprezentant Zarządu Głównego „Straży Polskiej”, 3) prezes Akad. Koła „Straży Polskiej”, 4) przewodniczący Sekcji krajoznawczej A. K. S. P. Bliższych informacji udziela prezydium Akad. Koła „Straży Polskiej” podczas dyżurów codziennie od 12—1 i od 6—8.

oooooooooooo

Nowe książki.

Kwartalnik etnograficzny „Lud”. Pod redakcją d-ra Adama Fischera. Tom XVIII. Zeszyt I-IV. Lwów 1914.

Nieboszczykiem obwołano już i „Lud” i lwowskie T-wo Ludoznawcze, ale i tym razem zdołały one wywinąć się z uścisków zagłady, dybiącej na

nie zawistnie. Ukazał się kwartalnik odrazu w postaci całego rocznika za r. 1912 z adnotacją redakcyi, iż wychodzi z wielkiem opóźnieniem i w zmniejszonej objętości z powodu bardzo twardych warunków finansowych Towarzystwa Ludoznawczego. Zwykła to, niestety, u nas rzecz z wszystkimi wydawnictwami naukowemi, ale co do „Ludu”, to dzięki do rozpacz już doprowadzającemu ignorowaniu go przez społeczeństwo, przykry ten stan przybrał rozmiary wprost potworne. I nie dziwić się wielkiemu opóźnieniu, lecz raczej dziwić się, iż wogóle ten tom pokaźny ujrzał światło dzienne, że w warunkach podobnych potrafił ktoś jednak dech życia wionąć w zamierające ciało.

Przykładem świetnym, a nie jedynym u nas — służyć może wydany tom, przykładem olbrzymiej dysharmonii, jaka zachodzi między staraniami i zdolnością twórczą naszych pracowników naukowych, a apatyą i lekceważeniem, z jaką spotykają się w warstwach inteligentnych społeczeństwa. Stoimy przed faktem zamierania instytucyi poważnej i jej cennego wydawnictwa, oczywiście, z braku poparcia moralnego i finansowego, a równocześnie — jak na urągowisko — przekonujemy się, iż wydawnictwo to jest istotnie rzeczą cenną, godną nauki polskiej, godną postawienia na równi z najlepszymi tego rodzaju publikacyami u obcych. To jedno też może dodawało sił i energii do zwalczania licznych trudności, bo prócz przekonania, iż owoćną jest jej praca, nie miała redakcyja żadnej pomocy, żadnego poparcia w wysiłkach swych i zamięgach. Starania redaktora i dobra wola współpracowników złożyły się wyłącznie na fakt ukazania się ostatniego tomu.

Wspomnieliśmy, iż rocznik zasługuje w całej pełni na zaliczenie go w poczet najcenniejszych wydawnictw naukowych — nie zmniejsza tego zaznaczenie, iż znalazłoby się i pewne uchybienia, które jednak wybaczyć się musi, biorąc pod uwagę, w jakich warunkach redakcyja pracować jest w stanie. Bo czy nie podziwienia jest godne, iż w dziale rozpraw spotykamy mimo wszystko pięć opracowań krytyczno-syntetycznych, „Opisy i notatki” zaś wykazują sześć pozycji niezmiernie ciekawych, a dział materyałów, poszukiwań, recenzji i kronika niejedną rzecz wartościową notuje.

Z wielką znajomością rzeczy spotykamy się w pracy St. Hupki — „Z badań nad rozwojem ludowego budownictwa drzewnego”, cennej zwłaszcza dlatego, iż inicjuje, po zachwytach bezkrytycznych i bajaniach na temat „sztuki ludowej”, krytyczny sposób patrzenia, oparty na krytycznie przejrzanym materyale. Rzecz ta wskazuje w autorze bystrego obserwatora, każąc się spodziewać, iż ofiaruje on nauce naszej niejedno jeszcze cenne studium. A na czasie już są prace podobne po okresie zbierania samych materyałów bez końca. Autor zaś złożył dowód, iż powołany jest do tego.

Cenna również jest rozprawa J. Bystronia — „Wyniszczanie urodzaju na drzewach owocowych”, zawierająca gruntowne zestawienie wszystkich w tym przedmiocie praktyk ludoznawczych. Dr. Wł. Bogatyński kreśli w monograficznie ujętej „Nowotar-

szczyźnie* życie fizyczne i duchowe tego terytorium, ciekawe ze wszech miar, bo dochowujące obraz przeszłości, mało zmienionej z powodu ekskluzywności i konserwatyzmu mieszkańców.

Nadzwyczaj ciekawą rzecz podaje znany w europejskiej nauce z prac swych angielskich i francuskich Br. Piłsudski — „Trąd wśród Gilaków i Tinów”, tudzież Br. Malinowski „O totemizmie i egzogamii” (ciąg dalszy). W dziale opisów i notatek spotykamy się z St. Ciszewskim, St. Biedrzyckim, Kaz. Sochaniewiczem („Kollataj, jako pierwszy metodyk etnografii”), B. Ślaskim, Br. Piłsudskim, J. Schnajdrem i J. Koczwarą. Recenzje pochodzą przeważnie z pod pióra redaktora kwartalnika.

Jak choćby z pobieżnego przeglądu treści wiadać, wydawnictwo przedstawia się istotnie poważnie, czyniąc nader dodatnie wrażenie. Z uznaniem też szczerem trzeba się wypowiedzieć dla tych starań i wysiłków, którym zawdzięczono powstanie tomu. Z największym trudem pokonało się liczne przeszkody, byle tylko nie dać upaść pismu, mającemu za sobą już całe lata działalności pożytecznej. I dobrze się stało, bo z objęciem przez prof. Czekanowskiego katedry etnologii na uniwersytecie lwowskim znalazły badania w tym zakresie pewne silniejsze oparcie, o jakim jeszcze bardziej zadecydowało ulokowanie T-wa Ludoznawczego, wraz z biblioteką jego i zbiorami, w jednej z sal uniwersytetu. Odtąd żywić można nadzieję na żywszą działalność i zainteresowanie pracami Towarzystwa, i to tem bardziej, iż „Lud”, dzięki pomocy z pewnej strony prywatnej, będzie mógł na razie i dalej wychodzić. Obecnie pod prasą znajduje się rocznik za r. 1913 — opóźniony wskutek długiego strajku drukarskiego. W każdym razie ukaże się niedługo, a zaraz potem przyjdzie kolej na dalsze

zeszyty za rok bieżący. Życzyć też tylko można sobie, by społeczeństwo większą opieką zechciało otoczyć Towarzystwo, służąc celom jego przez wpisywanie się na członków i popieranie go moralnie. Towarzystwo ze swej strony doloży starań wszelkich, by odplacić się za to nie tylko cennem swem wydawnictwem, ale i odczytami, dyskusjami i wogóle żywszą działalnością. Pole dla okazania zrozumienia pozytywnych celów nauki ludoznawstwa otwiera się więc wdzięczne.

B. J.



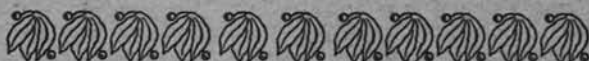
MEBLE W RÓŻNYCH STYLACH SOLIDNEJ
ROBOTY

POLECA

P. GRODECKI

ulica Marszałkowska 68, telefonu № 112-94,
od 8 maja na Żórawiej 33.

Pp. Członkom Tow. Krajoznawczego ustępstwo.

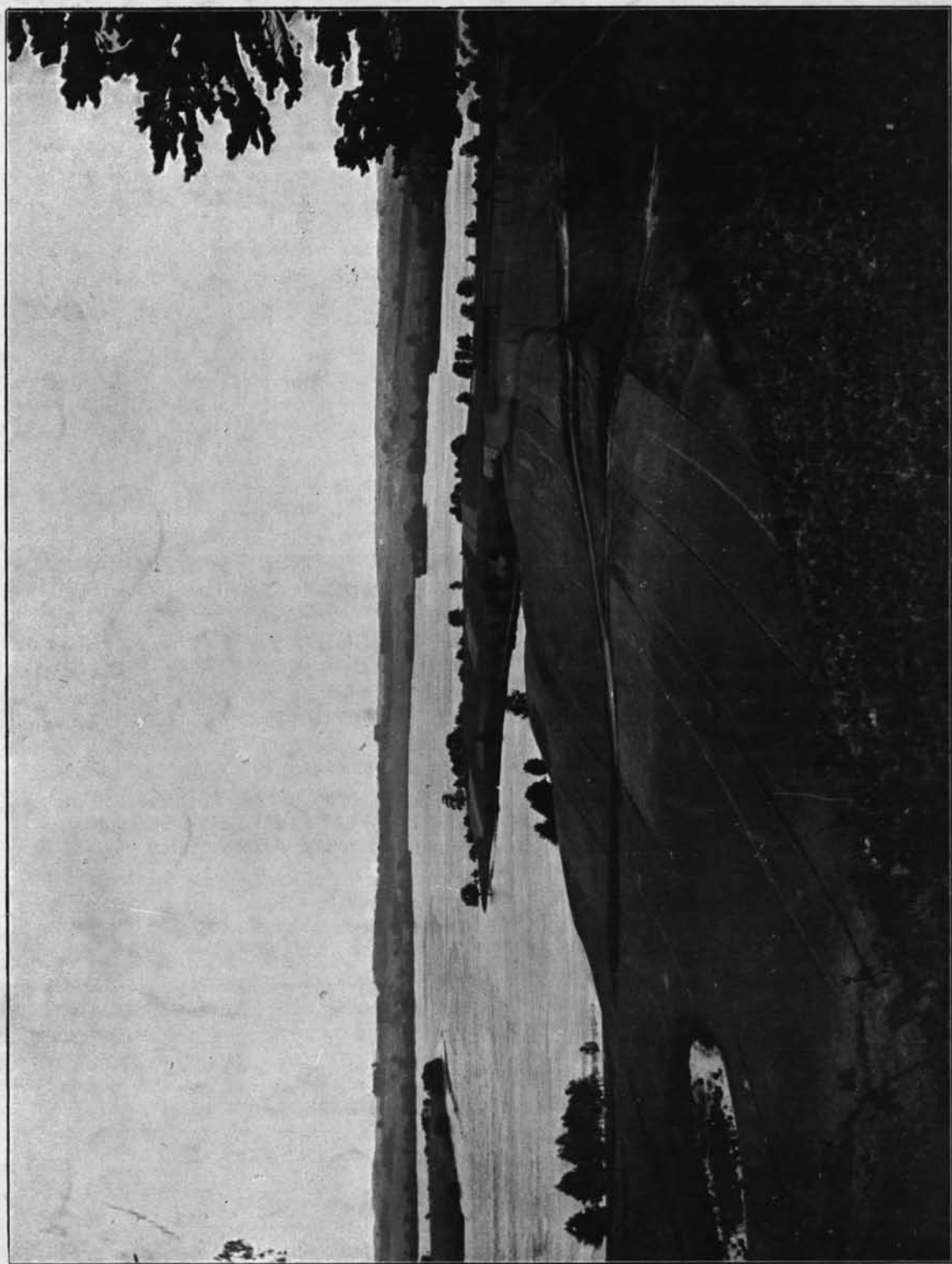


Od Administracji.

Prosimy sz. prenumeratorów o odnowienie przedpłaty na kwartał III.

TREŚĆ: S. Matusiak — Koń w naszych wierzeniach ludowych (c. d.). J. M. G. — Wzmianka o Bazalii na Wołyniu (z 1 ryc.). Nora Walicka — Połaga (dok.) (z 2 ryc.). B. Janusz — Z wycieczek po Brzeżanach i okolicy. Al. Janowski — Imigracja polska w Stanach Zjednoczonych (dok.). — Listy do Redakcji. — Z Pol. Tow. Krajoznawczego. — Z naszej turystyki. — Ze stowarzyszeń. — Nowe książki. — Wkładka: Ambona w Olkusz.

Redaktor i Wydawca Kazimierz Kulwieć.



Jezioro Ukał, pow. Świeciański, widok z piłkarni pod Ginutanami.